

WSPOMNIENIE O KSIĘDZU REKTORZE KONSTANTYM MICHALSKIM JAKO TŁO DO „KRONIKI KAPLICY SICHOWSKIEJ”

Do licznego grona swych przyjaciół zaliczał ksiądz Konstanty Michalski również dwie rodziny, których członkowie często wymienieni są w „Kronice”: Popielów w Kurozwękach i Radziwiłłów w Sichowie. (Obie miejscowości leżą niedaleko Staszowa w województwie tarnobrzeskim).

W latach trzydziestych, gdy mocno nadwyreżony wzrok nie pozwalał już Ks. Rektorowi na pracę w zagranicznych archiwach bibliotecznych, odwiedzał on nieraz w czasie swych wakacji świątecznych i letnich, tak Sichów jak i Kurozwęki. Goszczono go serdecznie, z wielką radością a także świadomością zaszczytu, jakim obdarza obie rodziny.

Uwięzienie Ks. Rektora 6-go listopada 1939 roku i pobyt jego w obozie koncentracyjnym odczuliśmy bardzo boleśnie a radość z jego uwolnienia i powrotu — była radością prawdziwie rodzinną. Moja siostra i szwagier — Zofia i Krzysztof Radziwiłłowie, natychmiast zaprosili Ks. Rektora do Sichowa, by na spokojnej, jak dotąd, wsi mógł odzyskać siły mocno nadwątlone ciężkimi przeżyciami obozowymi. Ówczesna, niemal całodzienna podróż do Kielecczyny była utrudniona. Zniszczenie mostu na Wiśle pod Szczucinem stwarzało konieczność przeprawy przez nią promem. Poza tym Ks. Rektor nie otrząsnął się od razu z pewnego urazu więziennego przejawiającego się lękiem przed okupantem. Prosił więc, abym mu towarzyszyła w tej podróży. Pamiętam lzy w jego oczach, gdy znajoma kępa drzew zwiastowała mu bliskość Sichowa. Znakiem krzyża pobłogosławił to miejsce, gdzie miał znaleźć chwilowe bezpieczeństwo, gdzie oczekiwały go bliskie i oddane serca.

Właściciele Sichowa zaprosili również na pobozowy wypoczynek trzech profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego: J. Dąbrowskiego, T. Szydłowskiego i T. Estreichera wraz z rodzinami. Wieczorne rozmowy tych wybitnych uczonych a zarazem serdecznych przyjaciół, przy płonącym kominku, miały charakter dyskusji naukowych. Nieraz uczestniczyli w nich przybyli z okolicy sąsiedzi. Te spotkania stały się przypuszczalnie solą w oku władz niemieckich. Może grały tu również rolę donosy kolonistów niemieckich

osiadłych w pobliskiej wsi, dość, że 4-go sierpnia 1940 roku mój szwagier i siostra zostali aresztowani, uwięzieni w Sandomierzu a w dwa tygodnie później wywiezieni do obozów w Buchenwald i Rawensbrück. (Z tego okresu pochodzi piękna „Modlitwa więźnia” ułożona przez Ks. Rektora. Jako gryps posłana została uwięzionym).

Profesorowie otrzymali nakaz wyjazdu. Jedynie Ks. Rektor, jako nominowany Kapelan kaplicy sichowskiej uzyskał pozwolenie pozostania na miejscu. Starał się o nie sam, pomimo świadomości osobistego zagrożenia. Krzysztof na chwilę przed wyprowadzeniem z domu zdążył pożegnać Ks. Rektora słowami: „Jeśli do dzisiaj wieczór nie wrócę — oddaję Księdzu dom i Rodzinę w opiekę.” (Wrócił w czerwcu 1945 r. z czwartego kolejnego obozu). Ks. Rektor wziął tę prośbę do serca i w ciągu długich lat okupacji, które były zarazem latami osierocenia dzieci, poczuwał się do odpowiedzialności za rodzinę Przyjaciela.

Wezwana tego samego dnia z Krakowa przyjechałam do Sichowa, by zająć się domem i Dziećmi.

Życie codzienne Ks. Rektora upływało między zajęciami związanymi z pracą duszpasterską a twórczą pracą literacką. Radościom i troskom duszpasterskim dał wyraz w swej „Kronice”. Sądzę, że ta praca mająca dla niego także urok nowości, była odkrywaniem mało mu znanych wartości naszego ludowego katolicyzmu a zarazem źródłem głębokich przeżyć duchowych. Chrzest i sakrament chorych, do których udzielania rzadko dotychczas miał sposobność, posiadały dla niego odkrywany wciąż na nowo, niepowtarzalny wymiar bogactwa łaski. Zachwyty nad życiem Bożym udzielanym człowiekowi w tych sakramentach charakteryzował jego relacje z uroczystego przebiegu obrzędów.

Starsi mieszkańcy Sichowa i okolicznych wsi do dziś pamiętają stałą gotowość Ks. Rektora w niesieniu im ofiarnej pomocy duchowej. Żywe jest jeszcze głoszone przez niego słowo. Kazania, choć długie i trudne, wychowywały słuchaczy do rozumienia wielkich spraw Bożych. Wspominają jego gorliwość w dbałości o kaplicę — Dom Boży. Pozostawił po sobie przykład szczególnie gorącej wiary w obecność Chrystusa Eucharystycznego. Wciąż zachęcał wiernych do adoracji u stóp tabernakulum. Nic nie było dla niego dość piękne, by to tabernakulum i oltarz przyozdobić. Zachowałam w pamięci drobne świadectwo tej wiary. Pewnego sierpniowego dnia 1944 roku pełnego szumu nalotów i huku bombardowań Ks. Rektor w czasie odprawianej Mszy świętej rozdzielił celowo między komunikujących wszystkie konsekrowane hostie. Gdy potem zwróciłam mu z żalem uwagę, że pozbawił nas źródła mocy i pomocy, której nam tak bardzo potrzeba, odpowiedział twardo: „Trzeba o Nim myśleć, nie o sobie! On jest w niebezpieczeństwie!”

Pochłonięta zajęciami domowymi, wychowaniem pięciorga sio-

strzeńców i koniecznością stałego wysiłku obrony przed wciąż nowymi zagrożeniami, nie wiele czasu mogłam wygospodarować na wydatniejszą pomoc Ks. Rektorowi w jego twórczej pracy. Miał wówczas na warsztacie „Między Heroizmem a Bestialstwem”. (O ile pamiętam tytuł ten nadał swemu dziełu dopiero później). Pierwsze rozdziały podyktowane zostały mojej siostrze przed jej aresztowaniem. Moim zadaniem było czytanie głośne, porządkowanie materiałów, wyszukiwanie odpowiednich ustępów lektury, sporządzanie zestawów tematycznych, zapis bibliograficzny i również pisanie pod dyktandem.

Do stałego spisu lektury należały przede wszystkim *Pismo św. Nowego Testamentu*, zwłaszcza *Dzieje Apostolskie* i *Listy św. Pawła*, dalej wybrane ustępy *Sumy św. Tomasza* i *Pism Seneki*, Holznera „*Paulus*”, oraz szereg pozycji psychologicznych. Czytając musiałam na życzenie Ks. Rektora robić nieraz dłuższe przerwy, w czasie których snuł rozważania na temat przeczytanego tekstu, czasem w oderwaniu od niego. Niekiedy zaś sam tekst wzruszał go i porrywał tak silnie, że zdawał się być w danej chwili niemal nieobecny. Jednym z tych tekstów był św. Pawła *Hymn o miłości* z *Pierwszego Listu do Koryntian*. Chwile te mocno utrwaliły się w mojej pamięci.

Dyktowanie przygotowane lekturą dnia poprzedniego trwało zazwyczaj od jednej i pół do dwóch godzin. Ks. Rektor dyktował pełnymi okresami, niezmiernie rzadko gubił wątek myśli, rzadko się poprawiał, nigdy niemal nie żądał odczytania podyktowanego tekstu. Zazwyczaj w krótkich słowach go oceniał.

Swoją wiedzą, zwłaszcza polonistyczną służył Ks. Rektor chętnie młodzieży przygotowującej w tajnym nauczaniu egzaminy z poszczególnych klas i maturę. Zapalając się w czasie wykładu, zapominał nieraz o wieku młodocianych słuchaczy. Rozważał z nimi dzieżdziny i problemy twórczości literackiej przerastające ich możliwości rozumienia i przyswojenia. Jednakże szerokie horyzonty, które im ukazywał porywały młodzież i budziły pragnienie głębszego poznania literatury ojczystej. Do dziś uczestnicy tej tzw. przez nich „Sichowskiej Akademii” ze wzruszeniem wspominają owe niezwykle i niecodzienne lekcje języka polskiego.

W lutym 1941 roku siostra moja została zwolniona z obozu. Radość z jej powrotu nie trwała długo. Zakłócona została już po kilku dniach nakazem opuszczenia Sichowa z rodziną w ciągu czterech godzin i udania się do odległej o 20 km miejscowości Słupia, koło Pacanowa. (Nakaz wydał baron von Schweinichen, ówczesny zarządca majątków rolnych tej okolicy, tzw. *Liegenschaft'u*).

Wyjeżdżając przymusowo z Sichowa, rozstawiliśmy się równocześnie z Ks. Rektorem. Odmówione wspólnie po raz ostatni *Kto się w opiekę*, w czasie którego młode pokolenie dzielnie wstrzymy-

walo lzy, było pożegnaniem na zawsze rodzinnego domu a zarazem zakończeniem okresu, w którym danym nam było dzielić z Ks. Rektorem naszą trudną codzienność.

Jeszcze w roku 1940 zamieszkali w Sichowie na zaproszenie mego szwagra, wysiedleni z Poznania Dyrektor Biblioteki Raczyńskich prof. A. Wojtkowski z żoną, trzema córkami i synem Julianem (obecnym Biskupem Sufraganem Warmińskim). Znajomość języka niemieckiego pozwoliła Profesorowi znaleźć pracę w niemieckim zarządzie Liegenschaft'u. PP. Wojtkowscy zajmowali mieszkanie w domu dawnego zarządu, w którym mieściła się kaplica. Po naszym wyjeździe Ks. Rektor przeniósł się do uprzejmie przez nich odstąpionego pokoju. Podjęli się oni również bardzo ofiarnie utrzymania Ks. Rektora i opieki nad nim. W *Kronice* wspomina on z wdzięcznością ich życzliwość oraz rolę, jaką odegrali w staraniach o zachowanie i rozwój kaplicy.

My zaś, jak już wspomniałam, udaliśmy się do Słupi. Właściciel, Maciej Radziwiłł, brat mego szwagra, przebywał wówczas w obozie jenieckim. U jego żony Krystyny znaleźliśmy serdeczną gościnę. Razem z nią przeżyliśmy trzy i pół lat niedoli okupacyjnej.

Pomimo oddalenia trwał kontakt z Ks. Rektorem. Polegał on na wzajemnych odwiedzinach i wymianie korespondencji. Odwiedziny, choć źle widziane przez władze niemieckie, były jednak dość częste. Wędrowano polnymi ścieżkami, stosowano różne wybiegi, obmyślano różne formy spotkań wykorzystując nieobecność dyrektora von Schweinichen'a.

Korespondencja między Sichowem a Słupią przekazywana przez urzędowych ale dobrze nam znanych posłańców (Ks. Rektor nazywał ich Hermesami), była bardzo ożywiona, musiała bowiem zastąpić kontakt osobisty. W dziesiątkach listów pisanych do moich Siostrzeńców Ks. Rektor dawał wyraz tej odpowiedzialności, do jakiej się zobowiązał. Były to nieraz miniaturowe traktaty filozoficzno-pedagogiczne. (Niestety najpiękniejsze z nich zaginęły). Natomiast listy do mnie świadczą o stałej trosce Ks. Rektora o utrzymanie kaplicy, jej upiększenie i przyozdobienie a również trosce o swój warsztat pisarski. Tak więc prosi w listach o zakup materiału na szaty liturgiczne, galonów, nici, o zamówienie obrazu świętej u znajomej malarki, o papier na witraże itp. Te drobiazgi, z którymi nigdy dotąd w ciągu życia nie miał styczności, dzięki swemu przeznaczeniu, stawały się przedmiotem autentycznego zaangażowania. Wdzięczność, jaką okazywał za załatwienie tych drobnych spraw, mówi sama za siebie.

Nadal pracuje Ks. Rektor nad *Między Heroizmem a Bestialstwem*. Nowo powstałe rozdziały dyktuje p. Wojtkowskiej. Rękopis przesyła do Słupi, gdzie w osobie starszej krewnej domu, Jadvigi Radziwiłłówny, (wspomnianej kilkakrotnie w *kronice*) zna-

łaż chętną i oddaną „maszynistkę”. W listach do mnie powtarza się prośba o dostarczenie mu książek potrzebnych do pracy znajdujących się w jego bibliotece na Stradomiu, bądź w księgozbiorach prywatnych, niekiedy w Bibliotece Jagiellońskiej (*Modlitewnik Żołnierski* Skargi). W miarę możliwości starałam się spełnić jego życzenia. Dość często odwiedzałam wówczas siostrę, ciężko chorą od chwili wysiedlenia z domu. Te wyprawy do Krakowa umożliwiały mi wykonanie listownych zleceń.

Trwogę, obawy, lęki, niepokój o bliskich a także nadzieje, wspólne wszystkim Polakom, dzieliliśmy mimo oddalenia z Ks. Rektorem a żadna z trudnych decyzji rodzinnych nie zapadała bez jego mądrej rady. Jego sercu i modlitwie powierzało się sprawy odpowiedzialne, jakich w tych czasach nie brakło, sprawy nie pozabawione ryzyka a wymagające zarówno rozważań, jak i odważnego działania.

Nadszedł rok 1944. Zbliżały się wojska radzieckie. Lada dzień miały się znaleźć na tzw. „Przyczółku Baranowskim”. Zdając sobie sprawę z sytuacji, w końcu lipca udałam się do Sichowa. Po zejściu w bok od szosy w Grzybowie koło Staszowa szłam w gęstej mgłę ścieżką przez łąki (będące dziś terenem siarkodajnej kopalni), a potem miedzą wśród wysokich zbóż. Tak doszłam do Sichowa i mieszkania pp. Wojtkowskich nie dostrzeżona przez nikogo. Chodziło mi o omówienie z Ks. Rektorem planów dotyczących jego najbliższej przyszłości i losów kaplicy na wypadek działań wojennych. Zależało mi również na zabezpieczeniu maszynopisu *Między Hercyzmem a Bestialstwem*. Jak przewidywałam był on w rozsypane. Osłabiony wzrok nie^e pozwalał Ks. Rektorowi na zorientowanie się w całości. Szczęśliwie udało mi się uporządkować i skompletować trzy egzemplarze tego już obszernego wówczas dzieła. Jeden egzemplarz zabrałam ze sobą do Słupi. Pozostałe umieścił Ks. Rektor w rzekomo bezpiecznym miejscu. Niestety zaginęły w czasie frontu. Mój egzemplarz udało się ocalić.

Już 1-go sierpnia na szosie Staszów—Szczucin przechodzącej przez Słupię pojawiły się pierwsze tankietki radzieckie. Tego dnia właśnie nasi partyzanci uwikłani byli opodal w ciężką walkę z oddziałem niemieckim. Niespodziewane nadejście pomocy zadecydowało o losie bitwy. Tak Sichów, jak i Słupia znalazły się od razu na linii frontu. Ks. Rektor opisuje szczegółowo w *Kronice* te ciężkie dni. Jak się później okazało w leżącym na uboczu zdala od szosy Sichowie stacjonował przez dłuższy czas sztab główny I-szej Armii pod dowództwem marszałka Koniewa. Słupia tak dalece została wciągnięta w strategiczne plany radzieckiej ofensywy, że dalsze pozostawanie na miejscu stało się niemożliwe. Postanowiliśmy przedostać się do Sichowa. Podzieleni na dwie grupy dotarliśmy szczęśliwie do celu pomimo ciągłych nalotów i słoczyli w do-

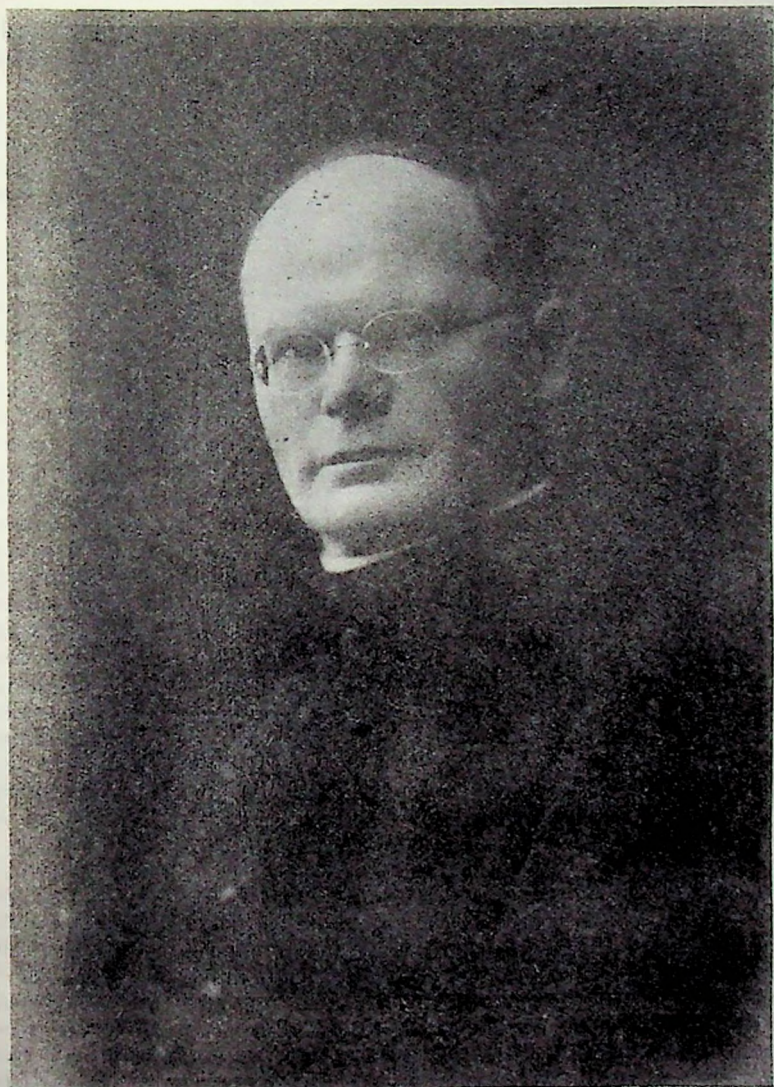
mu Zarządu, gdyż o powrocie do dawnego domu nie było mowy. Powiększyło się tym samym grono przyjaciół Ks. Rektora w Sichowie. Wśród nich łatwiej mu było przeżywać grozę wojny, zwłaszcza, że humor nie opuszczał młodej gromadki i łagodził tragizm sytuacji.

Chwila narzucała Ks. Rektorowi nowe zadanie umacniania, podtrzymywania na duchu, pocieszania ludzi dotkniętych działaniami wojennymi, w pierwszym rzędzie wysiedlonych ze wsi przyfrontowych. Zaopatrywanie rannych i chorych w czasie nalotu i obstrzału wymagało silnej świadomości obowiązku kapłańskiego zwyciężającego naturalny lęk przed niebezpieczeństwem. Kaplica gromadziła teraz zatrwożonych, niepewnych o własny i bliskich los, bezdomnych. Przyjmowali oni z płaczem wrażliwe na ludzkie cierpienia słowo Ks. Rektora.

Działania wojenne w jeszcze większym stopniu objęły moje miejsce rodzinne — Kurozwęki. W *Kronice* wspomniane jest zniszczenie tego starożytnego miasteczka. Wymieniony jest również mój brat Marcin Popiel (Obecnie Proboszcz w Szewnej koło Ostrowca Świętokrzyskiego) organizujący pomoc dla kilkuset bezdomnych mieszkańców Kurozwęk chroniących się w piwnicach czternastowiecznego zamku.

Z początkiem września jeszcze grzmiał i zagrażał bliski front, ale powoli zaczęła się ustalać jego linia. Wymiana ognia artyleryjskiego słabła. Ofensywa radziecka stanęła. Pozwoliło to na charakterystyczne w tym okresie poza-frontowe wędrówki ludzi poszukujących swych bliskich. Była to też jedyna możliwość „zasięgnięcia języka” u rzekomo lepiej poinformowanych, co do ruchów armii, przewidywanych zdarzeń, losów poszczególnych osiedli itd. Kolportowane zatrważające wiadomości, to znów przesadnie optymistyczne relacje wytwarzały atmosferę płotki, której próbowaliśmy się psychicznie oprzeć. W *Kronice* pełno nazwisk wędrujących, szukających miejsca dla siebie i swoich — znajomych. Zjawiają się w Sichowie jednego dnia, by następnego ruszyć w dalszą wędrówkę. Notuje też Ks. Rektor informacje o losach znajomych trwających jeszcze na lini frontu. Miejsce na kartkach, coraz bardziej zaśpieszonym stylem pisanej *Kroniki* znaleźli: Michał Popiel, jego syn Józef i córka Maria zamieszkali w Wójczy w pobliżu Słupi a również wysiedlony z Poznania ks. Krajewski. Duszpasterzując w Wójczy wykazał wielki hart i odwagę pozostając w samym ogniu walk z rannymi ofiarami frontu. Wymienieni są również Piotr Dunin-Borkowski, były wojewoda lwowski spędzający okres okupacji u krewnych w Wójczy, Wojciech Gołuchowski, również były wojewoda lwowski, który przez pewien czas dzielił naszą tułaczkę i inni.

Wydany 5-go września rozkaz opuszczenia terenów przyfrontowych w promieniu 14-tu kilometrów od linii bojowej spowodował ogólny „exodus”. Drogi zapełniły się wozami wypełnionymi chwy-



3. Ks. Konstanty Michalski (1879—1947)



4. Ks. Konstanty Michalski. Mal. F. Pautsch w 1932 r.
W posiadaniu Księża Misjonarzy Kraków — Stradom

conym na przedce dobytkiem, pieszyni z dziećmi na rękach i pędzonym obok wozów inwentarzem.

Ks. Rektor znalazł schronienie, wraz z okolicznym duchowieństwem, w pokamedulskim klasztorze w pobliskich Rytwianach. Przed wyjazdem zabezpieczył starannie sprzęt kapliczny. Oszczędzony mu został bolesny widok ukochanej kaplicy już kilka dni później doszczętnie zdewastowanej.

Jeszcze raz opuszczaliśmy Sichów dzieląc losy ogółu jego mieszkańców. Zamieszkałymi w Szwagrowie nad Wisłą u znajomych, bardzo gościnnych gospodarzy. Można było mówić o szczęściu. Domy, budynki gospodarskie, nawet piwnice, ziemianki i szopy nie mogły pomieścić uchodźców.

Kościół parafialny w Niekrasowie odległy był o 7 km a polne drogi w porze jesiennej trudne do przebycia. Sichowiaci tęsknili za swym duszpasterzem. Wybrałam się więc do Rytwian i nie bez wahania odważyłam się Ks. Rektorowi przekazać ich prośbę o przybycie do Szwagrowa, przedstawiając trudności, jakie go czekają. Nie zawahał się jednak ani chwili, w myśl wygłoszonej wówczas zasady: „Nie jest dobrze, gdy księdzu w czasie wojny jest bardzo dobrze”. Decydował się na niewygodę, na przykre ograniczenia, byleby być blisko swoich „parafian”. Już pieszka pięciogodzinna wędrówka przez las, w bardzo ciemną noc, nie była łatwa. Ciasne mieszkanie w domu położonym w sąsiedztwie naszego a dostępnym jedynie rozmokłymi miedzami, nie zapewniało wygody. Niemniej życzliwość gospodarzy oddających Ks. Rektorowi jedyną swoją izbę a przede wszystkim świadomość i poczucie, że jest potrzebny ludziom, że trwa przy nich w ich niedoli tułaczce, podtrzymywała go i cieszyła. Mam jeszcze w oczach niedzielne Msze św. w Szwagrowie. Dom stojący na wzgórzu otoczony potężnymi dębami. Oniegioparty, z dala widoczny ołtarz połowy. Tłum śpiewa, modli się i płacze. Głos Ks. Rektora brzmi donośnie. Niósł niełatwą pociechę i nadzieję jutra. Wspomina o tym *Kronika* ale próżno szukali: byśmy na jej kartach wzmiarki o ogromnym wysiłku i poświęceniu, którego wymagało w tak trudnych warunkach lokalnych sprawowanie sakramentów.

W końcu października Ks. Rektor postanowił przyjąć zaproszenie do Sandomierza Ks. Biskupa J. Lorka, gdyż wobec stopniowego przenoszenia się uchodźców w okolice bliższe rodzinnych domów, znacznie zmalały możliwości i konieczność jego pracy duszpasterskiej. Nie widział już potrzeby i obowiązku pozostawania na miejscu. Warunki nie sprzyjały też pracy umysłowej. Nie sprzyjała jej również atmosfera tymczasowości, ogólnego przygnębienia i niepewności, jaką oddychaliśmy wszyscy. Toteż choć trudno nam było myśleć o wyjeździe Ks. Rektora bez głębokiego smutku, zegnaliśmy go niemal z radością licząc, że w lepszych i nareszcie od-

powiednich dla niego warunków, znajdzie wypoczynek a wraz z nim twórczy dynamizm. Wyjeżdżając zabierał ze sobą prostą ludzką wdzięczność tych, dla których się trudił, nie wiedząc, że po latach pamięć o nim i dziele, które kochał przyjąć bardzo konkretną formę. Zniszczoną przez działania wojenne kaplicę mieszkający Sichowa własnymi siłami i z własnych funduszy odnowili zapewniając jej ochotniczą obsługę. Lata całe starali się o to, by w niej Chrystus na stałe zamieszkał. Pragnienie ich zostało spełnione. Dziś jest kaplica parafialnym ośrodkiem duszpasterskim.